intervista: Aleksandra Seghi

MARIA BANDONI

TOSKANIA NIE TYLKO NA WAKACJE

MARTA KRÓL

Nadeszły wakacje i z pewnością większość z nas zastanawia się nad metą letniego wypoczynku. Często celem podróży są Włochy, a szczególnie bardzo modna ostatnio Toskania. Przyciągają nas miasta, takie jak Florencja, Siena, Lukka i Piza, a także bliskość ciepłego morza. Marzymy o toskańskim słońcu, relaksie i delektowaniu się kuchnią regionalną. Lubimy też krążyć po krętych drogach i odkrywać stare, wiejskie, malownicze chaty. Niejednemu z nas śnią się one po nocach. Któż nie chciałby mieć jednej na własność!

Dobrze się więc składa, że w Toskanii swój dom ma nasza rodaczka. Jest nią pani Maria Bandoni (nazwisko po mężu), mieszkająca w Marlia, małej miejscowości położonej nieopodal Lukki. Pani Bandoni udostępnia swoją willę także jako rezydencję wypoczynkową. Villa Costa gości nie tylko Polaków, ale również turystów z całego świata. Maria serdecznie zaprasza do siebie we wszystkich sezonach, a dzisiaj opowie nam swoją fascynującą historię.

Im dłużej przebywam z Marią, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że na podstawie jej bogatego życia powinna powstać książka, a następnie film. Nasza rodaczka, dzieląca życie pomiędzy dwa kraje, jest prawdziwą kobietą sukcesu. Swoją pozytywną energią i ciepłem potrafi zarazić każdą napotkaną osobę. Jest otwarta, serdeczna i uśmiechnięta, zawsze gotowa do działania. Na wywiad dla magazynu „La Rivista" umówiłyśmy się z dużym wyprzedzeniem. Mimo natłoku zajęć, Maria nie tylko zgodziła się na całodniową rozmowę ze mną oraz sesję fotograficzną, ale również zaproponowała, że wyjedzie po mnie i fotografa na stację kolejową. Naszą pogadankę rozpoczęłyśmy już podczas jazdy samochodem. Maria, jak zawodowa Włoszka, w jednej ręce trzymała kierownicę, a w drugiej telefon, przez który omawiała z fachowcem roboty murarskie.

Aleksandra Seghi: Na wstępie muszę zadać krótkie pytanie: czy w ciągu doby znajdujesz czas na spanie?

Maria Bandoni: Najlepszy sen to dziesięć minut w czasie sjesty. Zapadam w letarg i budzę się automatycznie punkt 14.00, kiedy zaczynają mnie nachodzić murarz, elektryk, ogrodnik itp. Muszą ustalić, co mają zrobić po południu.

AS: Skąd czerpiesz tyle energii i siły? Czy to toskańskie słońce?

MB: Energia jest mi dana trochę przez naturę. Jestem najstarszą siostrą w rodzinie, byłym belfrem i przewodnikiem turystycznym. Albo to te obowiązki wymusiły we mnie energię, albo je podejmowałam, bo miałam właśnie tyle energii… Nie wiadomo, w którym kierunku to działa. Latka lecą, energii ubywa, ale nie mogę się do tego przyznać w otoczeniu, nawet przed sobą. Myślę, że żyję w dwóch najbardziej atrakcyjnych miejscach dla biologicznych warunków życia: zima w słonecznej Kalifornii (brzmi to jak kicz, ale to fakt: wszystko jest zielone, okna otwarte do słońca, nieformalny styl życia), a następnie lato w Toskanii, gdzie natura dzieli się swoimi najcenniejszymi darami. Słońce, zapachy ziemi, ciepło i arcydzieła kultury wspaniale działają na zmysły. To dodaje energii.

AS: Jak to się stało, że przyjechałaś do Włoch? Czy była to wycieczka krajoznawcza, czy może raczej podróż w interesach?

MB: Każdy ma inną, własną historię pozostania w Italii. Na ogół są to historie w stylu mocno fabularnym, szczególnie, jeśli wypadło to w latach '70. Jako pracująca w liceum polonistka wybrałam się z przyjaciółką i jej mężem do Grecji. Na Peloponezie biwakowaliśmy obok czterech przystojnych Włochów, którzy co wieczór jedli spaghetti i przy toastach z *vino rosso* zapraszali nas do Włoch. Okazało się, że nie było to gołosłowne. Po jakimś czasie przyszły formalne zaproszenia, które były wówczas warunkiem otrzymania paszportu. I tak w następne wakacje, z przyjaciółką romanistką, znalazłam się w Wenecji, w drodze do celu. Miałyśmy piękne, słomkowe kapelusze i młodość. A na Piazza San Marco, w słynnej kafejce, wraz ze smakiem cappuccino, pierwszy raz poczułam smak wolności i przygody z pięknem Italii.

AS: Oczami wyobraźni widzę, jak popijasz to cappuccino u Floriana. Jak w filmie. To tak zaczęła się Twoja przygoda z Włochami….

MB: Szybko zrozumiałam, co jest ulotne, a co stałe i wręcz niezłomne. Nie dotarłam do zamierzonego celu, lecz zatrzymałam się w Rzymie. Podjęłam naukę włoskiego w szkole dla obcokrajowców „Dante Alighieri". W polskiej ambasadzie potrzebna była polonistka do prowadzenia lekcji z dziećmi pracowników. Przyjęłam to zajęcie i dzięki temu mogłam przedłużać legalny pobyt. Szybko sprowadziłam mojego stęsknionego 10-letniego syna i tak już nigdy więcej się nie rozstawaliśmy.

AS: Czy syn szybko odnalazł się w nowym środowisku?

MB: Dominik rozpoczął naukę we włoskiej szkole podstawowej bez znajomości języka, a po trzech miesiącach, w konkursie klasowym, zajął pierwsze miejsce za pracę pisemną. Uwielbiał się uczyć, motywowany środowiskiem, w którym przebywaliśmy, gdzie przy stole trwały ciągle żywe dyskusje.

AS: Jak wspominasz mieszkanie w Rzymie?

MB: W tym czasie dużo się działo w środowisku polskim. Na życzenie ambasady zorganizowałam na przykład Dzień Kobiet w Caffè Greco na Via Condotti, gdzie Aleksandra Kurczab, aktorka i reżyser teatralny, proszona o jakąś recytację, wygłosiła... bojową *Redutę Ordona*! Nie bardzo było to zgodne z tematem Dnia Kobiet, ale musiało zostać zaakceptowane jako utwór patriotyczny. Do Rzymu zjeżdżała co roku Maria Kuncewiczowa z mężem. Polecono mi zaprezentować jej twórczość i przeprowadzić wywiad w dużej sali PAN-u. Miałam sporą tremę, ale życzliwość i ujmujący sposób bycia Kuncewiczów sprawiły, że wieczór w przepełnionej sali naprawdę się udał. Gratulacje składał mi Jerzy Pomianowski, pisarz, tłumacz, wykładowca literatury polskiej na włoskich uniwersytetach, częsty bywalec na spotkaniach polonijnych, jak i poeta Jerzy Hordyński.

AS: A przy swoim boku miałaś wspaniałego Włocha.

MB: Moje *grande amore*, Marcello Fichera, teraz już świętej pamięci, był nauczycielem matematyki i wielkim erudytą. Był najmłodszym bratem znaczących postaci w świecie nauki i kultury w Rzymie: jego najstarszy brat, Gaetano Fichera, był profesorem matematyki na rzymskim uniwersytecie La Sapienza i autorem licznych prac naukowych, natomiast średni brat, Massimo, pierwszym dyrektorem nowo powołanego wówczas kanału telewizyjnego RAI2. Massimo zapisał się w historii włoskiej telewizji dzięki nowatorskim programom i niebywałemu talentowi organizatorskiemu.

AS: Dzieliłaś życie między Włochy a Polskę. Czy mogłaś liczyć na wsparcie ukochanego mężczyzny?

MB: Mieszkaliśmy z Marcellem w wielkim, wynajmowanym mieszkaniu na peryferiach Rzymu, na wakacje jeździliśmy do Polski. W czasie wakacji udało nam się otworzyć w małej uzdrowiskowej miejscowości Cocktail Bar Marcello. Była to absolutna nowość, ajencja, duży sukces, wymyślne desery z bitą śmietaną... Niestety, u Marcello odkryto chorobę nowotworową. Po trzech latach naszego wspólnego życia zmarł.

AS: Zostałaś sama z synem. Musiałaś podjąć życiowe decyzje…

MB: Byłam zmuszona podnająć część mieszkania. Tak zamieszkał u nas Andrzej Litwornia – polonista, kolega z Uniwersytetu Wrocławskiego – wraz ze swoją dziewczyną. Mieszkało nam się bezkonfliktowo. Dużo zawdzięczamy Litworni, który właśnie wtedy rozpoczynał karierę naukową i stale miał nam coś do opowiedzenia na temat swoich badań.

AS: A jak to się stało, że z Rzymu przeniosłaś się do Lukki?

MB: Zaczął się trudny okres w Rzymie. Utrzymywał nas „sterowany" z dala Cocktail Bar Marcello, który miałam w ajencji z siostrą. Jak pomyślę o tym teraz, to nie chce mi się wierzyć: biorąc pod uwagę ówczesne przeliczniki (jest to zresztą wskaźnik proporcji zarobków państwowych i prywatnych), nasz cocktail bar *andava a gonfie vele*[1]! W państwowych kawiarniach nic nie było, pracownicy mieli pensję, ale nie musieli zabiegać o obroty. Jak do nas nie przywieźli truskawek, to same zrywałyśmy je na polu u rolnika. Jednocześnie pracowałam w Rzymie jako pilot wycieczek. Tak poznałam przyjaciela mojego przyszłego męża, autoryzowanego przewodnika po Rzymie, który zabrał mnie z synem na wycieczkę do Lukki. Tam właśnie przyleciał Bruno z Kalifornii. Na drugi (dosłownie!) dzień były oświadczyny, w iście amerykańskim tempie!

AS: Dom w miejscowości Marlia, który należał do rodziców męża, był do całkowitego remontu. Postanowiłaś – zamiast go sprzedać – że zostanie on odnowiony i przeznaczony na rezydencję wakacyjną dla turystów. Jak wspominasz lata odbudowy Villa Costa?

MB: Willa, w której urodził się mąż, była w opłakanym stanie. Jego przyjaciele z dzieciństwa zabrali mnie na objazd okolicy i pokazali podobne, odresturowane wille. Wtedy zrozumiałam, że, zakasawszy rękawy, możemy doprowadzić tę posiadłość do stanu używalności. To było 30 lat temu. Do tej pory coś stale jest tu w remoncie: odnawiasz, potem odnawiasz inne, a to co było odnowione wcześniej znów się zestarzało i wymaga odnowienia… *Perpetuum*.

AS: Ostatecznie opuściłaś więc Rzym i przeprowadziłaś się w okolice Lukki, do Marlia.

MB: Bruno był człowiekiem niby starej daty, ale o dużej tolerancji, którą nabył w Ameryce. Nie miał nikomu nic za złe, mawiał: *Solo il morto non fa gli sbagli* ('Tylko umarły nie popełnia błędów'). Weszliśmy w jego tryb życia, a on był dumny z siebie, że oferuje nam due mondi[2], Kalifornię i Toskanię. Sentymentalnie związany z domem, w którym się urodził, nie był w stanie go sprzedać. Tak więc krążyliśmy, w zależności od pór roku: na zimę do San Francisco, na lato do Toskanii. Mój syn i Bruno się uwielbiali, nigdy, przenigdy, nie było między nimi zgrzytu. To ja byłam tą heterą! Non sei mai piena! – mawiał mąż, podkreślając, że jestem zbyt wymagająca. Jak się uparłam, tak miało być. Przez kilka lat zajmowałam się importem biżuterii z Włoch. Z czasem jednak trzeba było zająć się willą, gdyż w wyniku remontów powiększały się powierzchnie mieszkalne.

AS: Twój rok kalendarzowy wciąż dzieli się na dwa etapy: mieszkanie w Toskanii oraz w Kalifornii. Jak dajesz sobie z tym wszystkim radę? A może to kwestia przyzwyczajenia, wejścia w pewien rytm?

MB: Przyzwyczaiłam się do dzielenia roku na dwa sezony. Z nadejściem Wszystkich Świętych już czuję w kościach, że mam wyjeżdżać, po to, by w kwietniu odczuć to samo w Kalifornii. I już mnie ciągnie do Toskanii. Zarówno tu, jak i tam, mam wspaniałych przyjaciół. To niemożliwe, by określić, gdzie jest moje główne miejsce, albo gdzie np. będzie miejsce wiecznego spoczynku. Punktem ciężkości jest Dominik, który stał się w tym burzliwym czasie człowiekiem sukcesu zawodowego. Wszystko osiągnął dzięki własnym zdolnościom i wytrwałości, co wzbudza mój i kiedyś Bruna prawdziwy podziw. W pełni skorzystał z przywileju życia na dwóch kontynentach. Wykorzystał amerykańską koniunkturę, studiował na najlepszych uniwersytetach (brał studenckie pożyczki, podczas weekendów dorabiał, sprzedając kraby, miał dofinansowania za wyniki, nie chciał nas obciążać). Skończył elektronikę na uniwersytecie w Berkeley, a następnie zrobił doktorat na Stanford University. Pracował dla INTEL, wnosząc wiele swoich wynalazków. Obecnie jest rzeczoznawcą w dużej firmie inwestycyjnej, naucza również w systemie wieczorowym na uniwersytetach w Berkeley i San Jose. Sercem jest jednak tutaj, w Toskanii. Połknął tego bakcyla, bez opamiętania ponosi koszty przebudowy niezagospodarowanych jeszcze budynków, stosując wszędzie amerykańskie standardy, np. obowiązkową klimatyzację. Odwiedza nas 3-4 razy w roku, na 2-3 dni, przy okazji rozmaitych kongresów w Europie, w których musi uczestniczyć. Natomiast dzień w dzień telefonicznie ustala pracę z naszym konsultantem i przyjacielem, Beppe del Debbio, teraz już emerytowanym profesorem z Accademia delle Belle Arti we Florencji. Jest on naszą wyrocznią i czuwa nad zachowaniem stylu sięgającej XVII wieku willi. Syn ma w planach wybudowanie basenu, jeśli nadejdzie zezwolenie. Może w przyszłości w jednym z budynków urządzimy salonik śniadaniowy, wiele osób o to pyta... Być może powstanie punkt sprzedaży lokalnych win i oliwy *extra vergine*, która pochodzi ze wzgórz Lukki. Nieopodal, w Tofori, znajduje się moja ulubiona winnica, farma Maionchi, której klientami byli i są liczni celebryci, jak chociażby Pavarotti, Tom Cruise, Nicole Kidman i wielu innych. Ich zdjęcia z właścicielami zdobią ściany piwniczki, gdzie, w ramach bezpłatnych degustacji, zaprzyjaźniona już z nami Giuseppina serwuje naszym turystom wina i opowiada, z jakich szczepów pochodzą.

AS: Odwiedzasz czasem Polskę? Na południu kraju mieszkają twój brat i siostra, prawda?

MB: Coraz częściej wpadam do Polski, w okolice Wałbrzycha i Jeleniej Góry. Jest tam tak pięknie! Oczywiście w całej Polsce jest ładnie. Tanie linie na trasach Kraków – Piza, Wrocław – Bolonia czy Warszawa – Piza bardzo ułatwiają komunikację. Moja siostra, brat i ich dzieci odwiedzają mnie co roku w Toskanii, ale i ja od roku, od kiedy zmarł Bruno, odwiedzam ich w Polsce. Bruno, kiedy jeszcze był zdrowy, lubił jeździć do Polski. Przejeżdżając przez otwarte tereny pól i łąk, mawiał z zachwytem: *Questo è un GRANDE PAESE*!

Po przedpołudniowej wycieczce, którą zafundowała nam Maria, docieramy do rezydencji, w której, oprócz prywatnego mieszkania, znajdują się również apartamenty wakacyjne. Maria jest bardzo gościnna i już od progu pyta, czego się napijemy. Biegnie do kuchni, nastawia kawę, kroi pyszności. Kiedy podziwiam salon i przyglądam się rodzinnym fotografiom, Maria wraca z kuchni i stawia na stole torta d'erbi, jedno z ciast, z których słynie Lukka. W drzwiach wejściowych staje dwoje ludzi. Okazuje się, że to najbliżsi znajomi pani domu, którzy właśnie wpadli na kawę: wspomniany już profesor Akademii Sztuk Pięknych we Florencji, doradca i konserwator Giuseppe, wraz z żoną. Przy stole robi się jeszcze weselej, a rozmowom nie ma końca.

AS: Z toskańską rezydencją wiążą cię bardzo silne więzi.

MB: Nasz dom, Villa Costa w Marlia, to nieduża posiadłość, założona w XVII wieku przez armatorów Costa z Genui. Panuje tu łagodny klimat, na przestrzeni stuleci w okolicach powstały wspaniałe wille z pięknymi ogrodami. Trzy minuty drogi od nas znajduje się Villa Reale, dawna rezydencja Elizy Bacciocchi, siostry Napoleona. Do Villi Oliva można dojść na piechotę, ta posiadłość należała kiedyś do Carla Poniatowskiego, prawnuka brata Stanisława Augusta Poniatowskiego, który jest pochowany w kaplicy willi. Te historyczne wille są ulokowane tuż u podnóży wzgórz lub na wzgórzach Lukki, z panoramicznym widokiem, co dodaje im jeszcze uroku. My znajdujemy się w miasteczku, przy dość ruchliwej drodze. Naszym atutem jest nieskomplikowany dojazd, a przed willą znajduje się przystanek autobusowy,

co sprawia, że jesteśmy świetną bazą wypadową. Duży ogród, oddzielony od drogi ścianą zieleni, zachowuje charakter enklawy. Dom jest jak organizm – na własnej skórze czujemy każdą jego bolączkę, mówiąc obrazowo: przeprowadzamy badania (geometra), diagnozy (architekt), leczenie (murarz), operacje na układach krążenia (hydraulik), zabiegi kosmetyczne (malarz), a nawet terapię psychologiczną (*feste*, oświetlenia). Dla domu się żyje. Ostrzegam: jak ktoś nabędzie dom w Toskanii, to zostanie tu uwięziony i odpowiedzialny za niego, jak za żywą istotę! Taki dom potrzebuje też babysittera, jakiejś zaufanej osoby, która zamieszka tam podczas waszej nieobecności. Nie wolno zostawić domu bez opieki.

Willa to gatunek sam w sobie. Prawdziwe wille były zakładane w uprzywilejowanych miejscach, gdzie było dużo dobrej wody gruntowej i mogły być drążone studnie; wiatry były łagodne, gleba urodzajna, drogi przejezdne. Były to posiadłości samowystarczalne, z całym zapleczem potrzebnych budynków, jak *limonaia* na zwożenie donic z cytrusami na zimę, *stalla* (stajnia), wozownia, budynki gospodarcze na zbiór plonów, dom chłopa, dom portiera, wszystko otoczone murem. Taka organizacja przestrzeni ukazuje, jak ważny był dla architekta człowiek i jego rodzina, jak dbano o wygodę i harmonijne otoczenie. Większość budynków odremontowaliśmy, zachowując wyjątkowy, toskański klimat i dostosowując je do wakacyjnych pobytów. Każda część jest niezależnym mieszkaniem, z całkowicie wyposażoną kuchnią. Wnętrzom charakteru dodają oryginalne, drewniane belki sufitowe, terakota na podłogach, starannie dobrane meble, tkaniny i obrazy oraz wyjątkowe barokowe freski, przywrócone do dawnej chwały. W urządzaniu pomagali nam włoscy konserwatorzy zabytków. Ostatnio odkryliśmy malowidła na strychu, gdzie powstaje przestronny apartament.

AS: Czy Twoimi gośćmi są przede wszystkim Polacy? W Villa Costa panuje wspaniała, rodzinna atmosfera. Nie dziwię się, że nasi rodacy czują się tu jak u siebie w domu.

MB: Turyści przyjeżdżają tu ze wszystkich stron świata. Jesteśmy oddaleni od Florencji tylko o 65 km, a 28 km od pięknych, piaszczystych plaż Versilii. Najbardziej lubimy gości z Polski i USA. Mają zawsze bogaty plan zwiedzania, szczególnie Polacy. Najbardziej popularne są wypady do Florencji, Sieny, Pizy, Chianti, Volterry, Viareggio i na plaże, do Barga – uroczego średniowiecznego miasteczka. Jeździ się także do Cinque Terre, a nawet Portofino. I, oczywiście, do Lukki, kilka lat temu określonej przez magazyn „Forbes" jako drugie najbardziej idylliczne miasto w Europie.

AS: Czy w Villa Costa bywają też znane osobistości?

MB: Owszem, miewamy gości VIP. Wśród nich ród Pinoccich z Polski, wywodzący się od Hieronima (Girolamo) Pinocciego, sekretarza króla Władysława IV i Jana Kazimierza, założyciela pierwszej polskiej gazety „Merkuriusz Polski", urodzonego w Lukce, żyjącego w XVII wieku. Pinocci przyjechali autobusem w 45 osób, spali u nas. Zostali bardzo uroczyście przyjęci przez burmistrza Lukki, pisała o tym prasa. Do Villi Costa przyjeżdża też wielu mniej lub bardziej znanych, ale wspaniałych i ciekawych gości, rodziny, grupy przyjaciół, młodych lub tylko młodych duchem. Największą satysfakcją jest, gdy na pożegnanie, oprócz „dziękuję i do następnego razu", jest też spontaniczny uścisk. Coraz więcej gości przyjeżdża drugi i trzeci raz. Ważne jest dla nich to, by pojechać z rodziną do sprawdzonego już miejsca.

Przepełnione historiami, ciekawymi opowiadaniami i dobrym jedzeniem, podnosimy się od stołu i tak, jak robią to stali bywalcy willi, mocno ściskamy panią domu. Niebawem znów tu przyjedziemy, by odkryć piękno tego miejsca i poczuć ciepłą aurę, która emanuje od Marii. I od Toskanii. R

1. odnosić sukcesy, świetnie prosperować
2. dwa światy
3. To jest wielki kraj!